wolnelektury.pl

Eliza Orzeszkowa

Siteczko

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ELIZA ORZESZKOWA

Siteczko

Co się jej stało? Jezus Marya! Co jej się stało?

Dlaczego ona krzyknęła, zemdlała, a gdyśmy ją otrzeźwili, taką była zmartwioną i przelęknioną? Nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadnie. Trzebaż wypadku, że pan tu wszedł, jak raz w tym momencie, kiedy ona krzyknęła: „Tatku! ” i zemdlała. Jakim ona głosem krzyknęła! Prawda? Aż mię w serce ukłuło, aż pode mną nogi się zatrzęsły! Takim głosem krzyknęła, jakgdyby stracha przed sobą zobaczyła, albo jakgdyby ktoś nagle nożem po sercu ją ciął? Prawda? Co jej się stało? Nie wiem. Może pan zgadnie... Mnie ten wypadek bardzo martwi, bo tę panią znam od dzieciństwa... Ach, jak to szczęśliwie, że były przy tem dwie moje panny i że pan wszedł, bo są przynajmniej świadkowie, że ja nic złego jej nie zrobiłam, a gdybyśmy były tylko we dwie, lękałabym się, aby nie posądzono, że to z mojego powodu... Ona nie! ona pewno nic złego zrobić-by mi nie chciała. Gdzież tam! serce zawsze miała dobre i znamy się od tak dawna; ale jej mąż, taki znakomity i możnyczłowiek, jednym palcem zgnieść-by mógł taką jak ja biedną kobietę... Szczęście, że miałam świadków... ale jestem bardzo zmartwiona i dziś wieczorem muszę pobiedz do niej, dowiedzieć się, czy czasem nie zachorowała. Pan wie, jak ona się nazywa i kto jest jej mąż, a kto ona z domu? Zaraz, zaraz powiem, wszystko opowiem, tylko spojrzę na moje panny, czy prędko już sukienkę córeczki pańskiej wykończą, bo nie trzeba przecież, aby pan długo czekał...

Za kwadrans, może za dwadzieścia minut będzie gotowa; byłaby już gotową, gdyby nie ten wypadek, który nam trochę czasu zajął. Czasu zawsze niewiele mamy, bo roboty jest dużo, nawet na kilka szyjących panien za dużo... chwała Bogu... Niechże pan będzie łaskaw usiądzie sobie tymczasem na tym fotelu. Sukienka za kwadrans będzie...

Ach, mój Boże, jak jestem zmartwiona tym wypadkiem! Widzi pan, ja u jej rodziców dwanaście lat służyłam. Młodą dziewczyną dostałam się do nich i u nich nauczyłam się wszystkiego, co umiem i z czego teraz chleb jem. Dobrzy byli ludzie, niech im Bóg Najwyższy da swoją światłość niebieską... zacni byli ludzie, on szczególniej, bo ona, choć bardzo dobra, miała trochę próżności i może już zanadto lubiła wygódki, zabawki, stroiki... Ale to mała rzecz. Zresztą oboje byli zacni i bardzo dobrzy. Jedną tylko córeczkę dał im Pan Bóg, oto tę, Bronię... Kiedym się do nich na służbę dostała, miałam szesnaście lat, a Bronia trzy, może cztery. Przed oczyma mojemi to rosło, na moim ręku, można powiedzieć, że ręku wszystkich, bo wszyscy we dworze, od samych państwa aż do najpośledniejszych sług, przepadali za nią. Dziecko było ładne, ale więcej jeszcze miłe. Żywa, jak iskra, gadatliwa, jak czeczotka, wiecznie śmiejąca się, szczebiocąca, całująca, przylepka, umizgalska; wszystkich rozweselała, nikomu bez niej życia i wesołości nie było. Państwo nie byli bardzo bogaci, ale też niczego im nie brakowało. Majątek, nie ogromny, ale i nie mały, dwór obszerny, sług dużo; dziecko we wszystko opływało: matka stroiła je, ojciec uczył. Od samej maleńkości uczyć je zaczął; na kolanach, bywało, posadzi, różne historye opowiada, obrazki pokazuje, a że moja służba taka była, iż prawie ciągle około państwa kręcić się musiałam, więc mnie także przysiąść każe, jeszcze innych służących zawoła, i razem z Bronią uczymy się wszyscy praw boskich i czasów starych, czytania, pisania. Pani kazała w garderobie uczyć mię szycia sukien, pan wołał zawsze, ile razy co opowiadał i pokazywał... wszystko im zawdzięczam, a teraz taki wypadek z córką ich w moim domu... ach, jak mię to martwi! Przy całej swojej dobroci, kiedy szło o rzeczy ważne, pan był trochę srogi. Martwiło go i gniewało, że Bronia nie była przy nauce bardzo uważną i że, jak powiadał, miała charakter płochy. Siteczkiem ją nazywał. „Czego nauczy się,

powiada, to zapomni; za czem dziś przepada, tego jutro już nie pamięta; wszystko, powiada, przelatuje przez nią, jak przez sito". I prawda to była; my już, bywało, sługi, choć duże i proste nieuki, lepiej od niej zapamiętamy to, co od pana usłyszym, a na punkcie przywiązania i chęci i gustów, to u Broni jednego dnia dziesięć razy deszcz i pogoda; to umie, to nie umie; to kocha, to nie kocha; to chce, to nie chce. Sam żywość była w tem dziecku i sama pustota. Zresztą dobra, jak anioł; nikogo nigdy nie krzywdziła, ani obrażała; w razie potrzeby i możności każdemu dopomogła, tylko byle na razie, bo, gdy jedna godzina minęła, ona już o czyjejś biedzie i o swojej obietnicy ani pamięta: co innego ją zajęło, bawi się, a kiedy bawić się zacznie — zgiń, świecie! Bronia w tamtą stronę ani spojrzy. Ja-bym tam może sama nie zauważyła i nie zapamiętała tego wszystkiego, gdyby pan czasem o tem nie mówił i za to jej nie gromił. Nad życie kochał on swoje „siteczko", ale pomimo to zdarzało się nierzadko, że je karcił. Ona jednak, rzecz dziwna, do niego najwięcej była przywiązana, więcej nawet, zdaje się, niż do matki. Jakby w nim zbawienie swoje czuła, tak czepiała się go i małem sercem swojem i rękoma. Gdy, bywało, za szyję go obejmie i przylepi się mu do piersi, to już i do zabawy jej nie odwołać i łakociami, których jednak bardzo chciwą była, nie zwabić. Czasem, choć nie często, zajmowało ją nawet to, co on opowiadał. W jadalnym pokoju, dość dużym, wisiało na ścianach wiele portretów różnych dawnych ludzi. Pan o każdym z nich mówił: kto to był taki? jak się nazywał? kiedy żył? co robił? Ona te historye portretów lubiła daleko więcej, niż inne nauki, może dlatego, że i pan także w tych lekcyach większą, niż w innych, znajdował przyjemność. Tak o tem, bywało, mówi, jakby najpiękniejsza muzyka grała, jakby słowami malował, a choć nie był już bardzo młody, oczy mu błyszczą, to jak węgle rozpalone, to jak gwiazdy, przez mgłę świecące. Ona też, jak nasłucha się tych historyi, jak ich ponaucza się na pamięć, to potem z portretami temi odegrywa różne komedye. Sto pociech z dzieciny tej bywało! Dziesięć lat może miała, ale zabawne to było jeszcze, jak pięcioletnie dziesiątko. Bielutka, różowa, ze złotymi włosami, które pani codzień na loki zawijała, zgrabna, jak ta laleczka na sprężynach. Wchodzi, bywało, do jadalnego pokoju, dwoma paluszkami z każdej strony sukienkę troszkę podnosi i przed każdym portretem: dyg, dyg! z podniesioną główką aż do samej ziemi przysiada: „Dzień dobry!" albo: „Dobry wieczór, panie taki a taki! Jakże się pan miewa? Czy rany już nie bolą? czy akademia w Zamościu dobrze idzie? A ja wiem, ilu Turków pod Chocimem było i bardzo-bym chciała zobaczyć żywe wielbłądy! Tak żałowałam, tak żałowałam, kiedy pod Cecorą pana zabili, że aż rozpłakałam się, a tatko mnie cały może kwadrans całował! I pana także żałowałam bardzo, że pan utonął".

Tak, bywało, przed każdym dyga i do każdego o czemś innem przemówić potrafi, a taka przytem milutka, że chciałoby się ją zjeść. Ze wszystkich przecież jeden portret najlepiej sobie upodobała, czy to dlatego, że pan o nim najpiękniej rozpowiadał, czy że najsilniejszymi kolorami był malowany: oto ten tam, co u mnie teraz wisi, tu... niech pan będzie łaskaw spojrzy, na tej ścianie, naprzeciw lustra. Kiedy odprawiałam się od państwa, a raczej od pani, bo pan nieborak już wtedy nie żył, hojnie mię obdarowano, a między innemi pamiątkami od nich mam i ten portret. Otóż Bronia do niego miała największą sympatyę. Innym, bywało, raz tylko dygnie, a temu trzy razy i jeszcze główkę nizko pochyli: „Dzień dobry, panie Stefanie! Jaką ładną delię pan ma na sobie! Tatko mnie opowiadał, jak pan ślicznie tę rzekę przepłynął i co pan w Danii robił. Ja pana bardzo lubię. Kiedy do jadalnego pokoju wchodzę, zawsze mi się zdaje, że pan na mnie tak ładnie, ładnie patrzy, jakby pan mię także bardzo lubił. Czy to prawda, że pan Bronię lubi?" I, okręciwszy się na paluszkach, śpiewając, główką kręcąc, wprost ojcu na kolana. „Jużem się, tatku, ze wszystkimi przywitała i wszyscy popatrzali na mnie tak ładnie, tak ładnie, ale najładniej patrzał pan Stefan". Takie to było ucieszne, w szczęściu hodowane, ale niedługo, Boże mój kochany, niedługo! Państwo na majątku podupadać jakoś zaczęli, pan gryzł się, a że już i przedtem osobliwego zdrowia nie miał, więc zagryzł się i zszedł z tego świata. Pani, wiadomo, kobieta w interesach niedoświadczona i niczego sobie odmówić nie umiejąca, wprędce majątek do reszty w długi pogrążyła, tak, że już i utrzymać się na nim nie było sposobu; w biedę popadły obydwie z Bronią, która wtedy piętnaście lat miała. Ale gdzie im tam było biedę znosić: pani takiej delikatnej i chorowitej, panience rozpieszczonej i wesołości pragnącej! Krewnych bogatych miały w bardzo wielkiem mieście i proces jakiś, który im ci krewni wygrać przyrzekali; zabrały się tedy

i pojechały. Ja wtedy odprawiłam się od nich, bo, choć chciały mię z sobą zabrać, żal mi było wszystko swoje porzucić i wolałam tu biedę klepać, niż za siedmiu górami i rzekami w dostatki opływać. Przed wyjazdem Bronia była bardzo uradowana. Cieszyło ją to, że w ogromnem mieście zamieszka, że u bogatych krewnych wielkie salony i częste bale, że, kiedy proces wygra, sama salon sobie urządzi i zawsze jak najpiękniej stroić się będzie; no, nic dziwnego, młode to takie było, prawie dziecko. Kiedy żegnała się ze mną, całowała mię, ściskała i płakała, ale o starym domu, który na zawsze była opuściła, o ojcu, przed dwoma laty zmarłym, już w niej ani wspomnienia nie było. Siteczko!

Piętnaście lat minęło. Przez ten czas za mąż wyszłam, owdowiałam, dwóch synów podhodowałam, do klas od kilku lat już chodzą... Z pracy rąk swoich wszystko mam i chociaż, dzięki Bogu, głodem nie mrę, ależ zawsze przy dzieciach, zwłaszcza po owdowieniu, kłopotów różnych i smutków najadłam się niemało, a wśród tego wszystkiego, przyznam się panu, o Broni prawie i zapomniałam. Nie widziałam jej przez piętnaście lat ani razu i nie słyszałam o niej nic. Czasem, kiedy, nie śpiąc w nocy, albo modląc się w kościele, dobrodziejów swoich wspominałam, i ona mi też, jak żywa, stawała przed oczyma, ale to tylko momentalnie, poczem rozpoczynał się znowu męczący, a czasem to aż krwawy taniec życia, przy którym obraz ładnego i wesołego dziewczątka niknął z pamięci na długo. Aż tu raz, właśnie tej zimy, idę ulicą, z jedną swoją znajomą, z żoną tego, może pan go zna, introligatora, i gadamy sobie o różnych swoich biedach i pociechach, aż z innej ulicy, z boku, wylatują wielkie, rozłożyste sanie, w cwał pędzącymi i szeroko rozpuszczonymi końmi zaprzężone, i tak na nas lecą, że, Jezus Marya! ani nam w prawo, ani w lewo; uciekamy, ślizgamy się po zamarzłym śniegu i już nie wiemy same, jak śmierci albo kalectwa uniknąć, a tylko w uszach nam dzwoni, brzęczy, krzyczy, gwiżdże i tak śmieje się, że aż zanosi się od śmiechu. Dzwoniła i brzęczała tak uprząż na koniach, krzyczał i wołał woźnica: „Z drogi! z drogi!", a śmiało się i zanosiło od śmiechu, nie z nas pewno, ale z jakiejś zabawnej rozmowy, towarzystwo, siedzące w wielkich, rozłożystych saniach. Nic jednak; wykręciłyśmy się jakoś, introligatorowa tylko nosem w śnieg padła, ja zaś utrzymałam się na nogach i, jak we śnie, jak w przelocie błyskawicy, zobaczyłam — Bronię. Kilkoro ich jechało, raczej leciało, mężczyźni i kobiety, z których jedną była ona. Dałabym była siebie na kawałki porąbać za to, że to ona. Ta sama białość i różowość twarzy, te same turkusowe oczy, te usta śmiejące się i ponsowe, te włosy blond, takie złote, z pod sobolowej czapeczki... Cała w sobolach była, a przy jej uszach, jak iskry, ze śniegu podjęte, błysnęły w słońcu brylanty! Chociaż sanie daleko już odleciały, ja jeszcze za niemi patrzyłam i pomimo, że przez ulicę dość ludzi szło i jechało, długo nad wszystkim gwarem wzbijał się brzęk i dźwięk ich uprzęży, krzyk ich woźnicy: „Z drogi! z drogi!" — i głośny śmiech: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Kiedy oprzytomniałam, trzebaż wypadku, przechodzi koło mnie jeden znajomy mój, taki, który wiele różnych osób w mieście znać może. Chwytam go tedy za rękę i pytam: czy nie wie czasem, kto ta pani, co tam pojechała? — A wiem — odpowiada — i mówi mi panieńskie jej nazwisko.

Więc ją poznałam! Ale skądże ona tu się wzięła, a w takim bogatym stroju i w takiej wesołej kompanii jeździ? Ot, wielkie dziwy! Z mężem przyjechała, tym a tym, człowiekiem bardzo znakomitym i możnym. Idąc do domu, ciągle myślałam sobie: a-a-a! a-a-a! hm, hm, hm, hm! a potem pomyślałam: a no! — ręką machnęłam i do swoich szyjących panien poszłam. Roboty było wiele, pilna, a tych panien, choć i poczciwe, dobrze pilnować trzeba. Przytem staniki kroję zawsze sama i draperye w ostatecznem upięciu z pod mojej własnej ręki wychodzić muszą.

Ale w miesiąc może potem panna Róża (to moja starsza panna do staników), wracając z miasta, wielkim pędem do pracowni wpada i aż zadyszana od pośpiechu woła:

— Kareta! kareta! Proszę prędko przyjmować! Jakaś pani taką piękną karetą przyjechała!

Biegnę i już przez okno przedpokoiku widzę, że śliczna kareta przed drzwiami mieszkania stoi, przy niej konie czarne, takie duże. Wpadam do tego pokoju, aż w przedpokoiku słyszę srebrny, donośny głosik: — Czy tu suknie szyją? — Tu, tu! — odpowiadam i drzwi na oścież otwieram, a na progu, cała w sobolach, tak jak wtedy, staje Bronia. Kiedym ją tak zblizka zobaczyła, kiedy ona swojemi turkusowemi oczyma na mnie spojrzała, zapomniałam o długiem niewidzeniu się naszem, o tem, że ona teraz wielka pani, o wszystkiem... zawołałam: „Bronia!" i rozpłakałam się. Ona zdziwiła się bardzo, bo wcale

mnie nie poznała, ale kiedy jej powiedziałam imię i panieńskie nazwisko swoje (z okolicy szlacheckiej rodem jestem, proszę pana), zaraz przypomniała sobie naszą dawną znajomość i ręce na szyję mi zarzuciwszy, ucałowała mię serdecznie. Całując i kiedy na tej oto kanapce ją sadzałam, ciągle śmiała się i mówiła:

— A mojaż ty, Kazimiro, jak ja dawno ciebie nie widziałam! Ot i nie spodziewałam się takiej siurpryzy! A mojaż ty, duszyczko! Co? to ty suknie szyjesz? Ależ postarzałaś! Gdzie twoja dawniejsza talia podziała się! No, ale oczy to takie same, jak były! Jaka ja rada, że ciebie widzę i że to ty suknie dla mnie będziesz szyła! Tak dużo różnych rzeczy potrzebuję! Ale najpierwej to mnie kostyum na bal maskowy zrobić musisz, potem dwie suknie: jedną ze szlejfem, a drugą krótką; matinetę też prędko, prędko mieć muszę...

Porwała się z kanapki, do drzwi do przedpokoju skoczyła:

— Michał! Michał! rzeczy z karety tu przynieść prędzej!

Cały magazyn ze sobą przywiozła. Czego tam nie było! Materye różne, koronki, wstążki, tiule, kwiaty, aż w pokoju od tego zrobiło się ciasno.

— Masz żurnale? — Sporo mam żurnali mód i wszystkie przed nią położyłam. No, byłoż to, było wybieranie, przebieranie, dobieranie, medytowanie, kombinowanie, aż poty na mnie wybijać zaczęły. Jak ryba w wodzie! Kontenta taka, że, zdaje się, tyle skrzydeł ma, ile koło niej gałganków leży. Już ja spokojna — mówi — że ty to wszystko ślicznie zrobisz. Mnie znajome panie mówiły, że ty ślicznie robisz, i bardzo ciebie rekomendowali, tylko, że powiedzieli mi inną jakąś familię...

— Po mężu tak się nazywam...

— A! za mąż poszłaś! No, i ja poszłam! ale żebyś wiedziała jak! Kochał się on we mnie i ja w nim kochałam się tak... że prosto okropność. Pokażę ci go kiedy. Piękny mężczyzna! Jeszcze wtedy, kiedyśmy się pobrali, na takiej posadzie on nie był, jak teraz, ale zawsze dobrze nam było... teraz, no! Przyjdź kiedy do mnie, zobaczysz jaka u mnie rozkosz! No, duszeczko, przyjdź koniecznie.

Pocałowała mię znowu kilka razy.

— Ale co będzie z temi koronkami? za wązkie, prawda? Może sama znajdziesz szersze. No, a ten kostyum? to już tak, jak my umówili się...

Słucham, odpowiadam, doradzam, przymierzam, a ciągle czekam, kiedy też ona o swoim starym domu, o ojcu, o różnych dawnych znajomych wspomni. Miała przecież mnóstwo znajomych i z wyższego stanu i niższego. Pewno zapyta się: czy żyją? gdzie są? jak im się powodzi? Gdzie tam! O nikim i o niczem nie wspomniała. Dużo mówiła o swojem szczęściu, o tem, że ją mąż bardzo kocha i pieści, że ma dwoje ślicznych dzieci, że tam, gdzie dotąd z mężem mieszkała, bawiła się doskonale, że tu także, choć miasto jest niewielkie, bardzo wesoło jej czas przechodzi...

Nieśmiało zapytałam:

— A mama?

Zasmuciła się. — Nie żyje już, duszeczko, w junii pięć lat się skończy, odkąd nie żyje. Ale w wygodach ostatnie jej lata przeszły, niczego jej nie brakowało, w chorobie najsławniejsi lekarze ją leczyli...

Spojrzała na zegarek, krzyknęła, że już późno, i, z wielkim pośpiechem futro wkładając, mówiła, że dziś będzie na proszonym obiedzie, że jutro kawalerowie wyprawiają dla dam ogromny kulig, że synek jej zupełnie do ojca podobny, a córeczka do niej, że kostyum powinien być za tydzień gotowy i że ja mam przyjść do niej koniecznie, koniecznie...

Poszłam. Kiedy trzeba było przymierzyć ten kostyum, nie posłałam z nim panny Róży, jak to czynię zwykle, ale poszłam sama. Było to już o zmroku; na wschodach jej mieszkania jasno i pięknie, jak w kościele. Lampy przy ścianach, dywan pod nogami, tu i tam marmurowe wazony z szerokimi, zielonymi liśćmi. Parada! zadzwoniłam. Drzwi otworzyły się zaraz i, jak wiatr z podwórza przez otwarte okno, buchnęło na mnie z mieszkania, jak grzmot, głośne: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Ale niedługo słuchałam, bo ani obejrzałam się, kiedy nakształt piłki odskoczyłam aż do samej prawie poręczy wchodów. To lokaj we fraku i w białych rękawiczkach tak grzecznie mię ode drzwi usunął i, palcem w dół ukazując, zezłością i pośpiechem krzyczał: — Przez czarne wejście! proszę iść przez czarne wejście! Takem się, proszę pana, za ten kułak lokajski, co mię odepchnął, rozzłościła, że byłabym może coś bardzo niegrzecznego powiedziała lub i zrobiła, ale usłyszałam tylko

trzaśnięcie drzwiami, i już fagasa tego przede mną nie było. Przez dwie minuty może stałam, trzęsąc się z gniewu, ale potem machnęłam ręką i poszłam czarnego wejścia szukać. Znalazłam i weszłam do pokoju, w którym ze trzy wystrojone służące siedziały, a między niemi, na szczęście, jedna znajoma, poczciwa dziewczyna. Ta zaraz mię do sypialnego pokoju zaprowadziła i pobiegła lokajowi powiedzieć, aby pani oznajmił. Przez zamknięte drzwi słyszę gwar wielki; same męskie głosy, między którymi jej srebrny głosik dzwoni a dzwoni. Czasem rozmawiają tylko, a czasem zamkniętemi drzwiami, jak grzmot, bucha i toczy się: cha-cha-cha! cha-cha-cha!

W sypialnym pokoju różowo i srebrnie. Łóżka rzeźbione, gotowalnia w koronkach, jak w śniegu, jedna wielka lampa pod zasłoną pali się na gotowalni, druga, mniejsza, w kącie pokoju błyska. Rozglądam się, przypatruję, aż raptem ktościś, jak obejmie mię rękoma z całej siły, jak okręci mną po pokoju, niby w walcu, jak zacznie mnie całować w głowę, w twarz, w uszy, to tylko już obie lampy, jak iskry, przede mną migotały, a w uszach dzwoniło: cha, cha, cha! cha, cha, cha! I co pan powie? sama zaczęłam śmiać się, taka ucieszna ona była i śliczna. Co tam działo się przy mierzeniu kostyumu, tego panu i opowiadać nie będę: tysiąc pociech. Bardzo była z niego zadowoloną, a kiedy napowrót ubrała się w swoją codzienną sukienkę i pokładła na siebie wszystkie swoje broszki, paski, bransoletki, mówi do mnie: — Stań tu, duszeczko, a ja drzwi trochę otworzę i pokażę tobie mojego męża i mój salon!

Zrobiłam, jak kazała, bo nie tyle salonu, ile męża bardzo byłam ciekawą. Piękny, niema co mówić: piękny mężczyzna, wspaniały. Ryżawy blondyn, wysoki, z rękoma, jak mleko, białemi. Stał o kolumnę jakąś oparty i rozmawiał, temi białemi rękoma poważne gesty robiąc. Po tych gestach tylko poznać już było można takiego, co rozkazuje. A naokoło, w salonie białym i złotym, aż lśni się w oczach od ubrań mężczyzn, których ze dwudziestu może było. Jedni chodzą, drudzy stoją, siedzą, wszyscy rozmawiają. Gwar. Na stołach lampy, u ścian kinkiety ze świecami, posadzka błyszczy, przy oknach firanki aksamitne, w malowanych wazonach kwiaty. Parada! Patrzę, słucham, a ona, za mną stojąc, w samo ucho mi szepce: Widzisz, duszeczko, dziś u nas proszony obiad. Mąż wydaje go dla tych panów. Oni wszyscy włóczą się za mną i żeby nie wiedzieć ile kobiet było, ja u nich zawsze pierwsza, królowa. Mnie to bawi, ale jak tylko który zadaleko się posunie, zaraz figę one mnie dostaje. Męża kocham, skandalu się boję, brudów nie cierpię.

Potem za rękę mnie wzięła i przez dwa pokoje, z których w jednym bawiło się z boną dwoje dzieci, do jadalnej sali przyprowadziła. Tam oprócz długiego, pięknie nakrytego stołu, stał bufet, wokoło którego kręcili się lokaje, i na ziemi srebrne wiaderko pełne lodu, z którego sterczały butelki z winem szampańskiem. Do bufetu mnie pociągnąwszy, zaczęła mi kieszenie wypychać i kosz, w którym kostyum jej się znajdował, napełniać przysmakami. Daremnie broniłam się, gniewałam, prosiłam, aby tego nie robiła; naładowała mi mnóstwo pomarańcz, cukierków, ciastek, poczem, znowu wycałowawszy mnie, do gości pobiegła, ale w progu sali jadalnej spotkała się z małą córeczką, którą, gdy na ręce wzięła, obie szczebiotać do siebie zaczęły. Ja zaś stałam, tego ich szczebiotania słuchałam, cościś nogi do ziemi mnie przykuło i w oczach czułam szpilki. Kiedy przez sienie czarnego wejścia przechodziłam, znowu za jakąś ścianą, czy z za jakichś drzwi, jak wiatr z podwórza, buchnęło na mnie z tego mieszkania: cha cha, cha! cha, cha, cha! Do domu wróciwszy, długo myślałam: a-a-a-a! a-a-a-a! hm, hm! i w oczach miałam szpilki, ale potem pomyślałam sobie: a no! machnęłam ręką i poszłam kompresy choremu mojemu malcowi do nogi przykładać.

Potem ze trzy miesiące nie widziałam już jej wcale. Panna Róża chodziła do niej z sukniami, które była zadysponowała; ona zaś za każdym razem mówiła pannie Róży, że niegrzeczną i niedobrą jestem, gdy sama do niej nie przychodzę, ale że ona nie gniewa się i najpewniej, najpewniej do mnie którego dnia na długą gawędę przyjedzie. Nie przyjechała, a gdy wszystkie stroje były już zrobione i odniesione, znowu przestałam o niej wiedzieć i słyszeć. Nic dziwnego! Cóż ja wobec niej? Przytem — siteczko!

Dopiero przed kilku dniami, kiedy ciepło na świecie robić się zaczęło, przysłała lokaja z prośbą, aby panna Róża do niej przyszła, bo chce wiosenne suknie dać do roboty, a sama przyjechać nie może, trochę niezdrową będąc. Panna Róża zaraz poszła i przyniosła na początek fular francuski, bardzo ładny i drogi.

— Prosiła — mówi do mnie panna Róża — aby suknia była za tydzień: dla przymierzenia zaś sama przyjdzie.

— A kiedyż chora — mówię.

— E! śmieje się panna Róża — jej choroba lepsza, niż nasze zdrowie. Zobaczy pani, jak ona wygląda!

I prawda. Kiedy dziś z karety wyskoczyła i tu wbiegła, myślałam, że to sama wiosna przez drzwi wlatuje. Zdaleka widział ją pan nieraz, ale trzeba ją znać tak, jak ja znam, aby osądzić, co to jest za cudowne wyglądanie! Przecież ma 30 lat, albo i 31, wiem o tem dobrze, a któżby dał jej więcej nad 18, no... najwyżej 20? Czoło gładziuteńkie, jak u młodej dziewczyny, usta ponsowe, oczy błyszczące. I wszystko u niej takie foremne, giętkie, młodziutkie, jakby jej nigdy nic ani ukłuło, ani uszczypnęło, ani mroziło, ani upiekło. A przecież, proszę pana, tego kłucia, szczypania, mrożenia i pieczenia tyle na świecie, że jak tu, zdaje się, wykręcić się od nich? Wykręciła się i, trzydziestkę minąwszy, ośmnastoletnią pozostała. Na wiosnę jeszcze kolorów, blasku oka i żywości ruchów jejprzybyło, tak, że, kiedy błękitny fular w różnokolorowe desenie do przymierzenia włożyła i w pracowni przed lustrem stanęła, wszystkie moje panny aż ręce poskładały i rozdziawiły usta. Bardzo była zadowoloną z sukni, śmiała się i gadała:

— Duszeczko, jak ty ślicznie tę suknię zrobiłaś! Jak doskonale stanik siedzi!

Ale za małe było dla niej lustro, co wisiało w pracowni, istotnie za małe, bo tak jest wysmukła; więc ją do tego oto pokoju przed to stojące zwierciadło przyprowadziłam, ażeby już dobrze od stóp do głów obejrzeć siebie mogła. Oglądała się też dobre kilka minut, chwaliła stanik, mówiła, że mąż będzie ją w tej sukni bardzo lubił, bo faworytalnym jego kolorem jest błękitny, a wykręcała się przytem na wszystkie strony, figurę swoją oglądała, włosy poprawiała, bransoletami dzwoniła, kolczykami błyskała... raptem podniosła troszkę oczy i wypadkiem na odbity w zwierciedle ten portret spojrzała. Widzę ja to i myślę sobie: pozna ona ten portret, który niegdyś tak lubiła, czy nie pozna? Widzę: patrzy ciągle, ręce opuściła, o sukni zapomniała. Troszkę jakby pobladła, usta jej otworzyły się, potem rękę, jak długa, ku górze aż wyprężając, na portret pokazała i wymówiła: „Pan Stefan!" Pocichu to wymówiła, jak przez sen, bardzo już zbladła, i usta jej drżeć zaczęły.

— Co pani?... — zaczęłam pytać się, ale nie skończyłam, bo ona oczu, które otwierały się coraz szerzej, z odbijającego się w lustrze portretu nie spuszczając, chwyciła mię za rękę i tak mocno ścisnęła, że ledwie z bólu nie krzyknęłam.

— Jak on na mnie patrzy! — zaszeptała — jak on okropnie, jak on okropnie na mnie patrzy!

Troszkę cofnęła się, oczy rękoma zasłoniła i jak krzyknie: „Tatku!", to aż mnie w samo serce ukłuło, aż pode mną nogi zatrzęsły się, a moje panny w pracowni usłyszały i wszystkie zbiegły się tu przestraszone. Takim głosem krzyknęła, jakby stracha przed sobą zobaczyła, albo jakby nagle ktoś nożem po sercu ją ciął; przytem zachwiała się, zemdlała, i ledwieśmy z panną Różą i z panem zapobiedz mogli temu, aby na ziemię nie upadła. Widziałeś pan, jak po otrzeźwieniu z omdlenia, gdyśmy w pracowni ją przebrały, przebiegła przez ten pokój taka blada, że aż usta jej były blade, ze spuszczonemi oczyma, prędko, prędko, niby od czegoś uciekając. Nie pożegnała się ze mną i na nic nie spojrzała, a o sukni to już, zdaje się, że zapomniała zupełnie. Możnaby myśleć, że ktoś raptem kolory z twarzy jej starł, powieki do oczu przykleił i zaśrubował usta. Tak do karety wsiadła i pojechała. Ach, jak zmartwiona jestem tym wypadkiem! Ale co jej się stało? Jezus Marya! co jej się stało — nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadniesz?

Oto i panna Róża sukienkę córeczki pana niesie. Już gotowa.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/siteczko/

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Siteczko; Czy pamiętasz?, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0652-8

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.